

Głos w dyskusji

Nie mogę sobie odmówić przypomnienia moich uwag na temat habilitacji. Skoro temat powraca, to może poniższe uwagi się przydadzą.

W trakcie licznych dyskusji na temat habilitacji występowałem przeciw.

Na ogół samotnie, albo w wyraźnej mniejszości, zwolenników było znacznie więcej i narażałem się kolegom. Więc w końcu przestałem się odzywać. A przecież moje dwa podstawowe argumenty są istotne. Idzie o to, że:

- w okresie maksimum aktywności twórczej pracownika nauki, a więc po doktoracie, zamiast wpływać na niego, by poszukiwał najważniejszych, najbardziej aktualnych i nowych tematów badawczych, wywiera się nacisk na zdobywanie kolejnego szczebla w karierze, najczęściej poprzez gromadzenie dorobku według jakichś tam kryteriów, wśród których elementy nowości nie są pierwszoplanowe,
- w pracy zespołowej pojawiają się te problemy z procentowymi udziałami współautorów itd., co procedurę naraża na śmieszność, a zespoły badawcze na niepotrzebne rozterki.

Być może są dziedziny nauki, w których aktualność czy nowoczesność tematyki badawczej ma drugorzędne znaczenie. Ale w chemii, zwłaszcza eksperymentalnej, pracują liczne zespoły, wyliczanie udziałów jest traktowane, przepraszam, dość lekceważąco i, nazwijmy, pragmatycznie.

Zaś strata czasu na „kompletowanie dorobku” zamiast poszukiwań najbardziej aktualnych jest zwyczajnie szkodliwa. Dlatego wypowiadałem się przeciw habilitacji. Tym bardziej że minęły bezpowrotnie (mam taką nadzieję) czasy „awansów pozamerytorycznych” i tym podobnych kwestii patologicznych.

Habilitacja nie zastąpi tu funkcji, jakie powinny spełniać obywatelskie społeczności w nauce, inaczej opinia środowiska.

Dodam jeszcze – dla pełnej jasności – że nie miałem żadnych trudności ani przykrych przeżyć związanych z moją własną habilitacją przed wielu laty (z wyjątkiem trudności z dostępem do kserografu w stanie wojennym, aby wykonać niezbędną liczbę kopii rozprawy). Więc nie o osobiste wrażenia mi idzie, a o racjonalne działanie.

Ukłony i pozdrowienia,

JANUSZ LIPKOWSKI

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego
w Warszawie,
Wydział Matematyczno-Przyrodniczy

Peer review i wstyd

Wstyd jest uczuciem niemłym. Może je więc wykorzystać?

Słyszymy i czytamy o nietrafnych, nierzetelnych, niekiedy wręcz skandalicznych recenzjach dotyczących wniosków grantowych: czasami znamy je z autopsji. To samo dotyczy innych recenzji, zwłaszcza „na stopień” – nimi jednak mniej osób się interesuje i dowiadujemy się też o nich rzadziej. W wypadku recenzji grantowych mamy niekiedy, nie zawsze rzecz jasna, do czynienia z daleko posuniętą niekompetencją, mechanicznym stosowaniem formulek, niezrozumieniem samego projektu. W przypadku recenzji habilitacyjnych i profesorskich – odmiennie. Poza rzetelnymi i rzeczowymi spotykamy recenzje pisane z powodów pozamerytorycznych (życliwości dla recenzowanego bądź przeciwnie, chęci zaszkodzenia mu), koniunkturalnych lub pisanych z obawy przed środowiskiem, z którego wywodzi się recenzowany. Niekiedy, a nawet często, recenzje bardzo krytyczne (wręcz negatywne w wymowie) zakończone bywają wnioskiem pozytywnym, „żeby się nie narazić”.

W tej sytuacji skądinąd słuszna zasada *peer review* wydaje się nadal nie do końca funkcjonalna. A gdyby tak ją udoskonalić? Pomysł jest następujący: wszystkie recenzje mogłyby być zrecenzowane – mogły, nie musiały. Losowo można by poddać ocenie wszystkie recenzje (na

stopień, grantowe) bez względu na ich przedmiot, wymowę i wnioski, natomiast obowiązkowo te, które budzą zasadne wątpliwości. A więc na przykład recenzje negatywne z pozytywnym wnioskiem. Recenzje „towarzystkie”, „spółdzielniarne”, bądź napisane z wyraźnie złych pobudek. Kto miałby się tym zajmować? Jakiś organ nadrzędny – bez względu na to, jaką nazwę ewentualnie przyjmie – już istniejący lub specjalnie powołany.

Warunkiem skuteczności działania jednak musiałaby być jawność wszelkich recenzji – także tych superrecenzji, czyli recenzji oceniających recenzje. Recenzja nierzetelna bądź nieuczciwa, a także niespełniająca wymogów, poddana superrecenzji, byłaby ujawniana, a nazwisko jej autora – upubliczniane.

Jeśli chcemy uzdrowić sytuację w nauce i szkolnictwie wyższym, zacząć należałoby raczej nie od jej przeorganizowywania, a od znalezienia prób jej uleczenia. Odbudowania – w sposób jawny i skuteczny – etosu naukowca, również (a może zwłaszcza?) w jego roli oceniającego cudzą pracę, cudzy dorobek, cudze plany. Wiedząc, że sam może zostać oceniony, a jego ewentualna niekompetencja ujawniona, zapewne działałby bardziej rozsądnie – uczciwiej, rzetelniej.

Jeśli dzielność etyczna nie wystarcza, to może odwołać się do wstydu?

MARIA KORYTOWSKA

Uniwersytet Jagielloński